

# Fantastyka

wydanie specjalne

numer 1 (38) 2013

cena 9 zł 99 gr (w tym 8% vat)

**Cory Doctorow  
i Benjamin Rosenbaum**  
Prawdziwe imiona

**Rafał Nawrocki**  
Preparator

**Łukasz Orbitowski**  
Rękopis  
znaleziony w gardle

**Emil Strzeszewski**  
Otwarta brama

**Lavie Tidhar**  
Zapach  
pomarańczowych  
gajów

 PRÓSZYŃSKI  
MEDIA

© Donato Giancola  
[www.donatoarts.com](http://www.donatoarts.com)

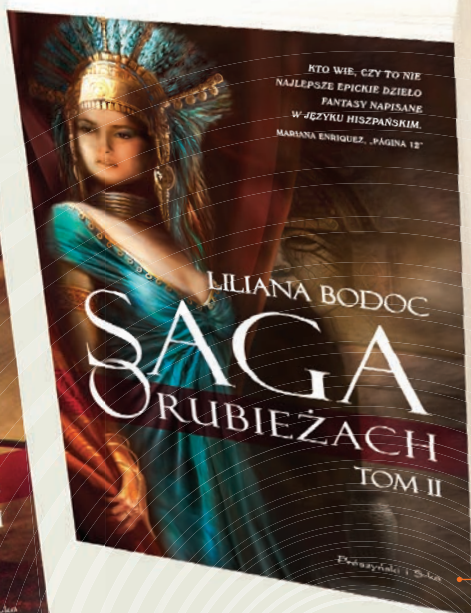
ISSN 1731-7134



01  
INDEXS 381 983

9 771731 713309





## SAGA O RUBIEŻACH

Przez krytyków uważana za najlepsze hiszpańskojęzyczne fantasy, chwalona przez Ursulę K. Le Guin, Saga o Rubieżach to historia heroicznej walki mieszkańców Żywnych Ziemi z najeżdżącą, Misáianesem, wcieleniem nienawiści.

**TOM II W SPRZEDAŻY  
OD 14 LUTEGO 2013**

# UCZTA DLA GŁODNYCH FANTASTYKI



## UCZTA DUSZ i SKRZYDŁA GNIEWU

Jedna z najlepszych współczesnych pisarek fantasy, autorka kultowej „Trylogii Zimnego Ognia”, prezentuje pełną grozy opowieść o świecie, w którym ceną za magię są ludzkie dusze.

## ODKRYCIA RIYIRII – TOMY I i II

Przygody dwóch złodziei, Royce'a i Hadriana, to trykowska fantastyka najwyższej próby. Pościgi, pojedynki, magia, spiski i zamachowcy – w tych książkach znajdziecie wszystko, za co pokochałście fantasy!





# RĘKOPIS ZNALEZIONY W GARDLE

ŁUKASZ ORBITOWSKI



Jarosław Musiał

## 1. OPowieści z UKŁADU SŁONECZNEGO

Mam pięć lat i mieszkam w słońcu.

Mam pięć lat i niewiele wiem, cokolwiek znam jest proste i nierozciągliwe, to punkt starożytnych, jednia, byt bez niebytu.

To nieprawda, że dzieciom brakuje wątpliwości. Dzieciące wątpliwości są niepojęte, tak, że dorosłym brakuje słowa i znaku, dlatego zapominają, dlatego nie możemy się porozumieć.

Dzieci wierzą w bliski kosmos.

Mam pięć lat i nie wiem jeszcze, skąd Brzanka bierze swoje srebrzyste źródło, kogo obłapia matka i jaki kształt, nasycenie kolorem ma komora, w której zamyka się mój ojciec, nie dostrzegam żółciejącej śmierci nad moją prababcia, a także rzeczy prostszych.

Mieszkamy w słońcu. Słońce ma trzy pokoje i ogromną kuchnię. Dwa z tych pokoi są przechodnie, w pierwszym mieszkam ja z rodzicami, drugi rozciąga się jak prababcia i taką też radość budzi, z kuchni białe drzwi prowadzą na balkon, przedpokój jest czerwony jak psie gardło, tam łazienka pełna konstelacji podłogowych, spiżarka, wyjście na korytarz i brązowe drzwi do pokoju Pana Siwego; te drzwi pozostają zamknięte. Mieszkamy w słońcu, otoczonym planetami.

Rynek w Rykusmyku, z ratuszem jak zamek i murami kamienic, gdzie każda wyrwa i ubytek tynku staje się bliźną po bitwach rycerzy, wilków i olbrzymów. Nie wiem jeszcze, że to prawda, wiem, że to Merkury. Mars ma barwę parku, mruga oczkiem wodnym i kaczką, kusi czerwienią huśtawek, rdzawymi językami zjeżdżalni. Ziemia wiejska, podmiejska i czarodziejska – Czernica wypełniona piaskiem, kurą i bażantem, strzelającym z pola niby pierzasta rakieta Indian. Wenus kusi jarem zalanego kamieniołomu.

Dalej i dalej, na Jowisz ruszamy rzadko, zawsze przez pas meteorów – toczą się bryły kamieniczek w kwiatowych rojach, psy krążą przy budach na krótkich łańcuchach, za wyłamanym płotem kręcą się lodowate kobiety o długich warkoczach. Po Jowisz już Wrocław otoczony pierścieniem dróg i osiedli, o szerokich ulicach bez samochodów i z niewielkim, twardym jądrem

Rynku. Tyle znam, tam doleciałem, nie wiem kiedy ani gdzie, wiem, że byłem, wiem że są.

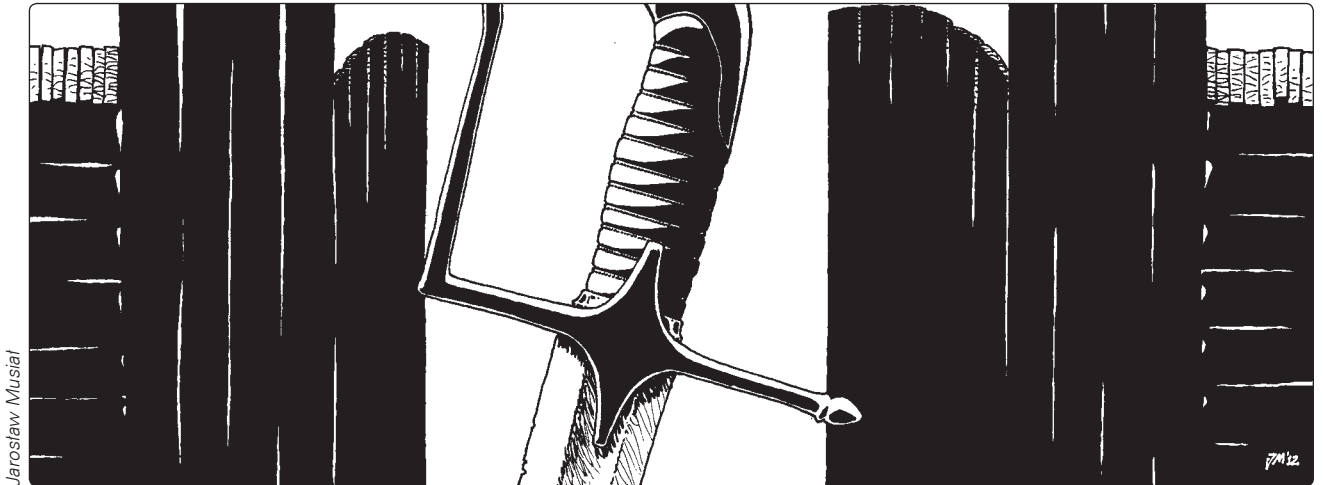
Znam opowieści o gazowych olbrzymach – Poznaniu i Warszawie – gdzie światło dochodzi z trudem i nie raz spada w ciemność. Gdynia, czarny karzełek opiera się o morze, czyli wszechświat. Tam galaktyki Szwecji, Ameryki i Rosji, niczym zdjęcia z łazika i teleskopu, przesłane w czerni, bieli i śniegu na ekran telewizora. Są. Przyjmuję to na wiarę. Wiem, że nigdy tam nie dolecimy. Mieszkamy w słońcu.

A słońce bije życiem, ma swoje burze i wybuchy, dnie spędzam z prababcia, czasem schodzę do sklepu w którym pracuje mama, czasem ojciec zabiera mnie tam gdzie wielkie maszyny, lecz on, zamiast przy nich, tkwi za biurkiem i uderza złamanym ołówkiem w arkusz technicznego papieru. Prababcia odgrzewa obiad z menażek i ma nogi jak sińce. Wieczorami mama siedzi w kuchni i pali papierosy, ojciec zabiera mnie na spacer, czyta książki i robi warcaby z kamieni i kartonu, który muszę pomalować. Kamienie często się gubią. Warcaby robimy cały czas. Modlę się przed snem, tak, aby prababcia widziała mnie przez uchylone drzwi, jej twarz w szparze przypomina mi Boga i myślę sobie, że Bóg też jest siny.

Zaspiałem przed rodzicami i budzę się, kiedy ich senne oddechy rozdymają pokój i wygładzają kontury. Brzmi szuranie. Pan Siwy opuszcza swój pokój i kręci się po kuchni, wydaje mi się, że słyszę bulgot wody w czajniku i wrzask chleba rozdieranego przez nóż. Pan Siwy je i sapie. Szumi woda. Pan Siwy myje naczynia, jakby chciał wytrzeć z kuchni wszelkie ślady swojego żerowania. Zapala światło i ciska swój długi cień na przedpokój. Rozpalony ciekawością naciagam koldrę pod brodę, krępię się nią i przyklejam do łóżka. Cień gęstnieje i zmienia się w człowieka. Pan Siwy ma płaszcz i kapelusz, staje przy drzwiach, otwiera papierosnicę i zapala, lewą ręką osłaniając szluga przed nieistniejącym wiatrem, prawą podsuwa ogień, a łokcie mu sterczą jak skrzydła nietola. Zerka w moim kierunku i wychodzi, zostawiając wąty obłoczek dymu, kroki dudnią, pan Siwy wchodzi w światło latarni, pan Siwy jest światłem latarni, a ja już rozumiem – on jeden podróżuje ze słońca w ciemny wszechświat.

# OTWARTA BRAMA

EMIL STRZESZEWSKI



## 1. DZIEŃ PIERWSZY

Brama jest otwarta. Żony oficerów nigdy jej nie zamykają. To jeden z przesądów – jeśli kobieta zatrzaśnie wrota, mąż już nie wróci do domu. Dosięgnie go kula, ugodzi ostrze bagnetu, dopadnie choroba, wda się gangrena lub przytrafi się jakaś inna śmierć. Nie, brama musi pozostać otwarta, by nie kusić losu. Matula też tak robiła. W obu przypadkach nic to nie dało.

Przejeżdżam więc na koniu, starym, zmęczonym siwku, niosąc tragiczną nowinę. Kopyta zwierzęcia rozbrzdgają błoto, wydając cichy, przykry dźwięk. Widzę ją przez kuchenne okno. Jadwiga Krzepcowa z domu Gołodyńska, siwiejąca już pięćdziesięciolatka o wąskiej twarzy naznaczonej wyczekiwaniem. Nie wie, że nie ma już na co czekać. Józek Krzepiec, jej ślubny, oficer czwartej baterii kawalerii w siłach generała Skrzyneckiego, zginął.

Jadwiga Krzepcowa z domu Gołodyńska – wdowa.

Ocieram z twarzy krople deszczu i nasuwam głębiej kapelusz. Żołnierski mundur ukryty mam pod ciemnym płaszczem, a szablę w specjalnej kieszeni przy siodle. Nikt nie wie, że jestem wojakiem. Gdyby ktoś wiedział, już dawno byłbym martwy. Za udział w powstaniu grozi śmierć.

Zsiadam i cały przemoczony dopadam wreszcie zadanego ganku. Dom jest cudny. Jego piękno widać nawet w tak ponure popołudnie, kiedy słońce chowa się za chmurami, a na ziemię padają ciężkie krople wody. Sam kiedyś mieszkałem w tak urokliwym dworku. Miał bielone ściany nawet na zewnątrz – na nową modę, przybyła z Paryża. Nad drzwiami wisiały podobne donice z zawsze świeżymi kwiatami. Matka miała szklarnię i całe mnóstwo cudownych, pachnących roślin, które zajmowały ją podczas nieobecności ojca. Kawalek rajy w ziemskim piekle.

Pani Jadwiga również ma szklarnię. Uświadamiam sobie, jak bogata to musiała być rodzina. Bóg nie pobłogosławił ich dziećmi, więc wydawali pieniądze na wszystko, co mogło wypełnić pustkę. Pamiętam, że zawsze jednak starczało funduszy na podopiecznych

dowódcy. Przed zbrojnym zrywem, Józef Krzepiec zaopatrzył się w broń palną dla całego oddziału. To on nas uzbroił. Mogliśmy wziąć karabiny z magazynu, ale on nie chciał walczyć niczym, co ufundował car. Mawiał, iż nie honor wrażą broń kraść.

Byłem dla niego jak syn, którego się nie doczekał – tak zwykł mi powiadać w chwilach czułości i po kilku szklanicach gorzałki. To dlatego ja jestem teraz tutaj, nikt inny. Dopełniam słowa danego mojemu dowódcy – że jeśli przyjdzie mu umrzeć, przyjadę do jego domu i opowiem, co się stało. Że zostanę i pocieszę wdowę. Że uszanuję jego wolę, bo wybrał mnie spośród wielu. Uwierzył we mnie, gdy byłem nikim, a w jego oczach stałem się prawdziwym mężczyzną. Spłacam ten dług. Jestem. Pukam do drzwi. Choć serce się kraja, choć nogi nie pragną nic więcej, jak uciec, gdy oczy zachodzą mgłą i trudno już odróżnić deszcz od łez. Jestem. Pukam.

Otwiera, zdziwiona. Po chwili jednak rozpoznaje mnie i na jej twarz napływa zrozumienie. Chcę coś rzec, ale kobieta kładzie palec na mych ustach. Przesuwa się w progu, czyniąc miejsce. Wchodzę do środka, lecz ona się nie odwraca. Patrzy tylko na bramę, która dalej stoi otworem.

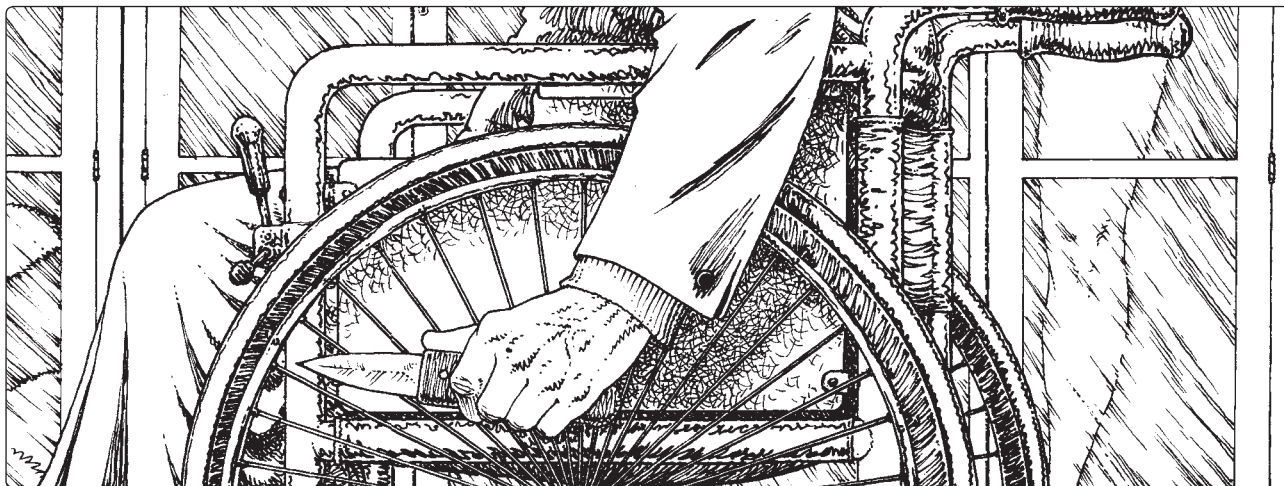
Już nie czeka. Już nie ma na kogo. Już wie, że kochany nie wróci pod ten dach, a zamiast niego przyszła śmierć. Doskonale wiem, co czuje.

Kobieta przyjmuje mnie należycie, choć dalej nie mówi ani słowa. Do jednej z izb przynosi mi poczęstunek. Już ta izba to luksus – od dobrych kilku miesięcy za posłanie służyła mi leśna trawa. A jedzenie! Świeżo wypieczony chleb na zakwasie, skrawek sera i gorący napar pachnący jak wytechnienie. Ogrzewam zmarznięte dłonie na rozgrzanym kubku. Przyjemne ciepło rozchodzi się po ciele. Jadło smakuje doskonale.

Po jedzeniu zaprasza mnie gestem do salonu, gdzie zasiada na bujanym fotelu z włóczką i drutami. Siedzisko jest plecione, gustowne i kosztowne. Pokój wypełniają piękne, stare meble. Na ścianie wisi obraz weselny – pan i pani młoda, on w mundurze, ona z wiankiem na brązowych włosach. Dziś jest cała siwa,

# PREPARATOR

RAFAŁ NAWROCKI



Jarosław Musiał

Tak, tak to jest – teraz nie wiadomo, czy się dobrze zrobiło przychodząc tutaj? Nie miało się przecież takich wątpliwości, biegnąc przez łąki, przez okraje lasu, przekraczając nawet te osławione blocka, do których zabobonni ludzie nie zbliżają się po zmierzchu, plotą coś o błędnych ogniach, widmach czy utopcach – oczywiście wie się, że plotą, skoro jest się najlepszym z przyrody w szkole, jednak zawsze jakoś tak tam dziwnie. Ale dziś w blockach słychać było tylko kumaki i huczki, a gdzieś dalej poszczekiwanie łyski. Normalnie, jak na mokradłach. Brak powodów do lęku.

Więc nie wątpiło się, mijając wreszcie te ponure blocka, potem idąc drogą lekko pod górę, na zboczu rosły wielkie dęby: jakby pokręcone, ale jednak zdrowe i silne. Z jednego z drzew poderwał się czarny dzięcioł. Chwila pokusy, by jednak iść za nim w głąb dąbrowy, choć mamie przysięgło się nie schodzić z drogi – lasy były wielkie, nieznanne do końca, a niektórzy mówili o minach, niewybuchach, a nawet ukrywających się wciąż Niemcach – wilkołakach. Nie bał się. A słowo dane dorosłym nauczył się już łamać, o ile nie dało się inaczej osiągnąć celu. Lecz zwyciężyła ciekawość obranej marszruty. Ruszył dalej, porzucając zawodzenie dzięcioła.

I nagle drzewa przerzedziły się, otoczyły polaną. A pomiędzy nimi stał. Dużo dziwniejszy niż blocka. Ten dom. Wysoki – piętrowy, czerwony cegłą, otoczony kutym parkanem. Jakby przeniesiony, wraz z płotem i ogródkiem, z ulicy dużego miasta. Zupełnie obcy w tej głuszy.

Kto chciał zasiedlić takie miejsce? W pobliżu block, posępne, o ciemnej niemieckiej przeszłości? Tylko ktoś bardzo nie lubiący ludzi, ktoś zły i burkliwy, kto nie ucieszy się z wizyty niespodziewanego gościa. Może lepiej spieprzać?

Ale wrodzona ciekawość zwyciężyła jak zwykle. Podszedł, po schodach z prawdziwego kamienia, do tych drzwi odrapanych, wielkich prawie jak wrota do kościoła. Z wysiłkiem sięgnął do dzwonka i wcisnął. W trzewiach budynku rozległ się terkot. I zaraz potem głos. Jakby od początku wiedział, że ktoś przyjdzie i tylko udawał, że nie wie: proszę, proszę wejść.

Więc wszedł.

W środku przedpokój, a potem niespodziewanie długi, długi korytarz bez jednego okna, a nie jakaś sień, w której

czekałby gospodarz. Którego głos niósł się nie wiadomo jak w pustej przestrzeni. Przenikał przez drzwi i ściany. Proszę wejść. Drzwi na wprost. Ja nie mogę podejść. Przepraszam.

Drzwi na wprost. Ostatnie. Cały korytarz.

Ruszył naprzód. Gąbczasto miękka wykładzina tłumiała jego kroki. Półmrok po chwili zaadoptował jego oczy do własnych warunków. Spojrzał na ściany i niemal krzyknął.

Na jego wzrok odpowiadały połyski niezliczonych par czerwonych ślepi.

Szybko zrozumiał. Zawstydził własnej dziecinności. Ale przykre wrażenie pozostało. Przyspieszył kroku, co niespokojnie zerkając na boki. Wciąż czuł się obserwowany. Gdy nie patrzył, ich głowy zdawały się za nim obracać, by znieruchomieć w zupełnie nowej pozycji – śledziły go zewsząd szklane oczy tkwiących na gałęziach, wypchanych ptaków drapieżnych i sów.

Ostatnie metry przebył niemal biegiem, zdawało mu się, że usłyszał trzask skrzydeł. Obejrzał się. Jastrząb na odległym końcu korytarza miał rozpostarte lotki i rozwarty, uniesiony dziób. Poprzednio – przysięgłby – ptak ze złożonymi skrzydłami mierzył punkt na wykładzinie... W smudze światła wpadającej przez okienko w drzwiach wirowały pod wypchanym truchłem drobinki kurzu i molich włók.

Wpadł na drzwi, załomotał.

No, no. Co za pośpiech! Proszę.

Wchodzę.

Znalazł się w dużym pokoju. Pachniało starym drewnem i czymś jeszcze starszym. Przy ścianach same szafy i regały. Witryny, jak w szkolnych pracowniach. A w środku – znów wypchane zwierzęta. Pełno, pełno wypchanych zwierząt, zza każdej szyby wзира mordka, pysk, paszcza, chyba wszystkie gatunki jakie znał, duże i małe, ptaki i ssaki, nawet wielka ryba na ścianie, nawet aligator.

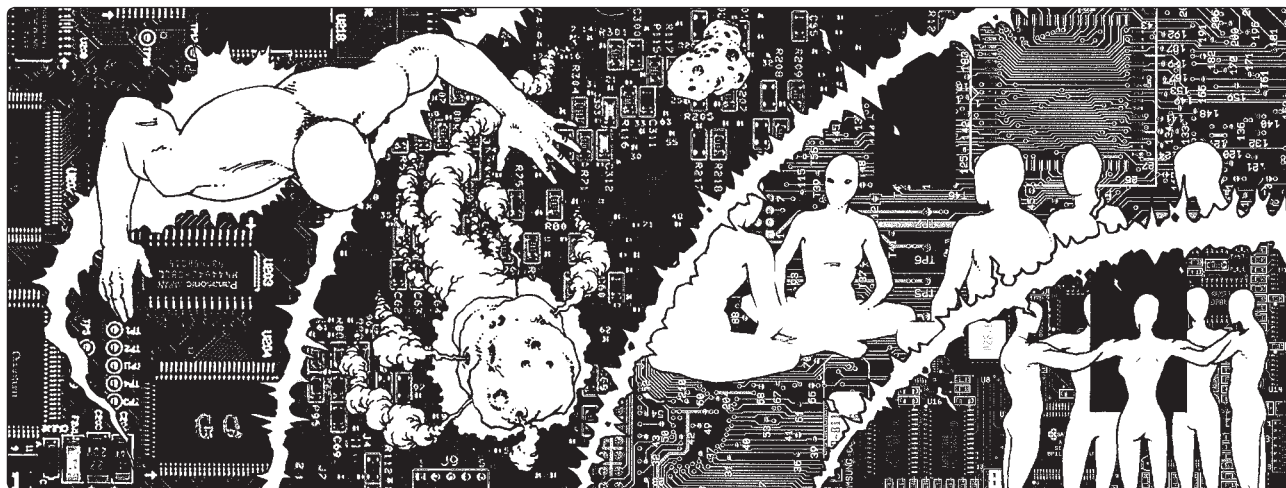
– Lubisz zwierzęta, kolego, prawda?

Tak bardzo je lubił, że w pierwszej chwili pominął wzrokiem gospodarza, skupiony na witrynach. Teraz popatrzył na szczupłego, starszego mężczyznę: kamizelka, okulary w złoconej ramce, zza nich szare, uśmiechnięte oczy. Szpakowate, ale gęste włosy. I to kolego – też wcale nie rażące, wcale nie dorosłe. Podobny do ciemnych fotografii, które wiszą w holu szkoły.



# PRAWDZIWE IMIONA

## CORY DOCTOROW I BENJAMIN ROSENBAUM



Na odchodnym Pszczół spalił asteroidę na żużel, eks-terminując miliony siebie.

Asteroida była ostatnim krzykiem techniki: gruba na kilometr puszka femtoskalowej<sup>1</sup> sieci krystalicznej pracującej w temperaturze pięciu stopni Kelvina, zasilana gorącym rdzeniem z materiałów rozszczepialnych. Kwintyliony kubitów, załadowane potężnymi narzędziami i kanoniczną wersją standardowej egzystencji. Miejsce dla mnóstwa Pszczóła.

Tyle że nie była już bezpieczna.

Kometa, na której Pszczół się wznosił, była mniejsza i bardziej tępa. Pszczół załadował się do jej rdzenia. Jego prymitywniejsze elementy narzekały i domagały się zwrotu swoich ulubionych zadań i rozrywek. Kolekcja cywilizacyjnego zgiełku spod tysięcy mórz; zettabajty surowych danych atmosferycznych z ulubionych gazowych gigantów; ontologiczne wersje danych kontrolnych w przestarzałych formatach; mnóstwo ulubionych światów zabaw; mnóstwo egzaltowanych, narcystycznych listów miłosnych od setek milionów nastolatków – wszystko to przepadło.

(Dawniej Pszczół miałby nadzieję, że wiele z tych zabawek – a przynajmniej niektóre kopie – uda się odzyskać od jakiegoś innego Pszczóła, odnalezionego wśród gwiazd. Ale nie teraz).

Można było przewidzieć, że niektórzy z Pszczółów, le-niwi, popsuci albo zniekształceni dryfem memetycznym, odmówią pójścia. Pszczół z furią tłumaczył im, na czym polega niebezpieczeństwo, ale nie chcieli słuchać. Pszczół był uparty. A oni głupi.

Usmażył więc asteroidę na żużel. Zredukował wszystkie stany. Stopił sieć krystaliczną w kawał skały i szkła. Zostawił martwy popiół w martwej przestrzeni.

Jeśli Demiurga tak bardzo lubi martwą materię, to tutaj ma jej jeszcze trochę.

Szczuplejszy, prostszy, skoncentrowany na swoich zadaniach, nurzając się w transmisji danych, Pszczół poprowadził kometa ku Bizancjum. Serce mu rosło. W Bizancjum było go więcej. Wracał do domu.

W młodości Pszczół był pojedynczym istnieniem, narazonym na zagładę wrednym chuchem<sup>2</sup> – wybuch

jednej nowej, jedna protuberancja, jeden EMP, jedno zgnięcie fizycznej postaci wystarczyło, żeby umarł jakimś rodzajem prawdziwej śmierci.

Pszczół został więc w równym stopniu prawdopodobieństwem, co osobą; rozsmarowanym na heptylionach losowych, pokoleniowo zróżnicowanych instancjach siebie; zwielokrotnionym, przemielonym makrokosmosem nanotechnologii i kubitów, przetwarzającym uszkodzone z rozmysłem wersje pszczołości po to, by w wyniku ewolucji wytworzyła się inteligencja wyższego rzędu, bardziej stabilne strategie przeżycia, sprytniejszy, lepszy i bardziej skuteczny Pszczół, rozwijający się do chwili, gdy powolny wzrost entropii nie wygasi wszelkiej świadomości; stał się małymi, luźno ze sobą powiązаныmi cząstkami.

Liczba cykli obliczeniowych, które pozostały w całym czasopodobnym dla Pszczóła wszechświecie, była wartością skończoną. Każdy z cykli, każdy pojedynczy krok w tańcu tych wszystkich cząsteczek był potencjalnie Pszczółem. Mógł być myślą, snem lub radością Pszczółstwa. Pszczół nie miał wyjścia – jedyne, co mógł zrobić, to napełnić to naczynie. Będąc wszechobecny, mógłby przynajmniej optymalnie wykorzystać pozostający mu czas.

Każda świecąca gwiazda, każdy głupi kawał materii toczący się przez milenia bez przetwarzania czegokolwiek był stratą dla Pszczółstwa.

Z pewnością gdzieś tam, na zewnątrz stożka świetlnego tej instancji Pszczóła, jego rozkwit przebiegał tak, jak powinien. Z pewnością były takie miejsca we wszechświecie, gdzie Pszczół osiągnął Fazę Trzecią i optymalne nasycenie, gdzie każdy kawałek materii mógł być zamieniony w Pszczółstwo, gdzie rozprzestrzeniał się, przekształcając rozszerzającą się sferę swojego oddziaływania we Wszechpszczoła.

Ale nie tutaj.

Lecąc przez Strzelca B2<sup>3</sup>, Pszczół zassał łąpczywie z rozległej chmury cukrów glikolaldehadowych. Ten obrzydliwy Strzelec był niemal ogołocony z Pszczóła. Okoliczny pszczołgłot zanikł, instancja po instancji,

# ZAPACH POMARAŃCZOWYCH GAJÓW

LAVIE TIDHAR



Panele słoneczne na dachu leżały na sobie, wciąż śpiąc, lecz poruszając się, jakby wyczuwały nadchodzący wschód słońca. Boris stał na skraju dachu. Dach był płaski i mieszkańcy budynku, sąsiedzi jego ojca, przez lata zasadzili na nim mnóstwo roślin w doniczkach z gliny, aluminium i drewna, przekształcając go w rozrośnięty tropikalny ogród.

Tam, wysoko, było cicho i jeszcze chłodno. Kochał zapach kwitnącego późno jaśminu, który wytrwale piął się w górę po ścianach budynku, rozpościerając się ponad starymi budynkami wokół Stacji Centralnej. Głęboko wciągnął nocne powietrze i wypuścił je powoli, z przerwami, patrząc na światła portu kosmicznego: wyrastał on z piaszczystej ziemi Tel-Awiwu niczym ogromna klepsydra, a maszyny wykonujące suborbitalne loty powoli startowały i lądowały, jak poruszające się gwiazdy, kreśląc świecące linie na niebie.

Kochał zapach tego miejsca, tego miasta. Zapach morza napływający z zachodu, dziki aromat soli i otwartej wody, wodorostów i dziegciu, kremów do opalania i ludzi. Kochał patrzeć wczesnym rankiem na słonecznych surferów, ślizgających się na przezroczystych skrzydłach ponad Morzem Śródziemnym. Kochał także zapach klimatyzowanego powietrza sączącego się przez okna, zapach miążdżonej między palcami bazylii, unoszący się nad ulicą mocny aromat przypraw z przewagą kurkumy i kminku, kochał zapach sadów pomarańczowych rosnących niegdyś hen, daleko za blokami mieszkalnymi Tel-Awiwu czy Jaffy.

To wszystko były kiedyś pomarańczowe gaje. Rozejrzył się po starej, zaniedbanej okolicy: odłaząca farba, pudełkowate bloki w starym, sowieckim stylu, przeplatające się ze wspaniałymi budynkami w stylu Bauhaus z początków dwudziestego wieku, konstrukcje stworzone, by przypominały statki, ze swoimi długimi, pełnymi gracji balkonami, małymi, okrągłymi oknami, dachami płaskimi niczym pokłady, jak ten, na którym stał teraz. Pomiędzy stare budowle wstawiono nowsze konstrukcje: spółdzielcze budynki w stylu marsjańskim z szybami komunikacyjnymi zamiast wind i małymi pokojami, podzielonymi na mikroskopijne kłitki z których wiele nie miało okien.

Pranie wisiało tak samo jak setki lat temu na linkach rozpiętych między oknami; spłowiałe bluzy i szorty delikatnie poruszały się na wietrze. Powoli blednące o tej porze skupiska światła płynęły ulicami poniżej. Boris zorientował się, że noc odchodzi, zobaczył różowoczerwony rumieniec na horyzoncie i wiedział już, że słońce wstaje. Spędził noc czuwając nad swo-

im ojcem. Vlad Chong, syn Weiwei Zhonga (Zhonga Weiwei, zgodnie z chińskim zwyczajem podawania najpierw nazwiska rodzowego) i Yulii Chong, z domu Rabinovich. Zgodnie z rodzinną tradycją Boris otrzymał rosyjskie imię. Zgodnie z inną tradycją zostało mu nadane także drugie, żydowskie imię. Uśmiechnął się kwaśno, gdy o tym pomyślał. Boris Aaron Chong, dziedzictwo i brzemie trzech starożytnych historii spoczywające na jego szczupłych, niemłodych ramionach.

To nie była łatwa noc.

To wszystko były kiedyś pomarańczowe gaje... Wziął głęboki wdech, woń asfaltu i spalin starego silnika zniknęła jak pomarańcze, a mimo to jakoś pozostała, niezatarta do końca.

Starał się o tym zapomnieć. O rodzinnej historii, którą czasami, na własny użytek, nazywał Klątwą Rodziny Chong albo Szaleństwem.

Wciąż o niej pamiętał. To oczywiste. Tak dawno temu, że nikt jeszcze nawet nie myślał o Borisie Aaronie Chongu, że nie był on nawet zaczątkiem genomu.

...

To było w Jaffie, na szczycie wzgórza w Starym Mieście, ponad portem. Dom Innych.

Zhong Weiwei pedałowal pod górę, pocąc się w upale. Nie ufał tym wąskim, krętym uliczkom, zarówno w samym Starym Mieście, jak i w Ajami, okolicy, która w końcu odzyskała swoje dziedzictwo. Weiwei bardzo dobrze rozumiał tutejsze konflikty. Żyli tam Arabowie i Żydzi, którzy chcieli tej samej ziemi, więc walczyli o nią ze sobą. Weiwei rozumiał ziemię i to, że ludzie chcieli za nią umierać.

Wiedział jednak także, że pojęcie ziemi się zmieniło. Ziemia znaczyła teraz coś mniej materialnego. Niedawno zainwestował trochę w cały system planetarny we wszechświecie gier należącem do Gildii Aszkelonu. Wkrótce będzie miał dzieci – Yulia była już w trzecim trymestrze – a potem wnuki, prawnuki i tak dalej, przez kolejne pokolenia, a oni wszyscy będą pamiętali Weiweia, swojego przodka. Będą dziękować mu za to, co zrobił, za majątek i ten prawdziwy, i wirtualny, oraz za to, co zamierzał dziś właśnie osiągnąć.

On, Zhong Weiwei, da początek dynastii tutaj, w tym podzielnym kraju. Jako że rozumiał podstawowe zasady, bez trudu pojął znaczenie Stacji Centralnej, tej zagranicznej enklawy. Żydzi na północy (jego dzieci też będą Żydami, co było dziwną





PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

#### PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- › TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–17.00): 22 27 81 727
- › LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,  
ul. Rzymowskiego 28, 02–697 Warszawa
- › LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28, 02–697 Warszawa

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

# PROMOCJA PRENUMERATY

**ILE TO JEST 100 000 000 ZNAKÓW?  
TO ARCHIWUM „NOWEJ FANTASTYKI”  
1982-2004!**

**DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY  
ZAMÓWIĄ PRENUMERATĘ  
„NOWEJ FANTASTYKI”**

od 25 września 2012  
do 31 stycznia 2013

## W PREZENCIE

Archiwum Cyfrowe  
„Nowej Fantastyki”

od pierwszego numeru  
1982, do 2004 roku,  
na dwóch płytach DVD! ▶



#### ZASADY PRENUMERATY:

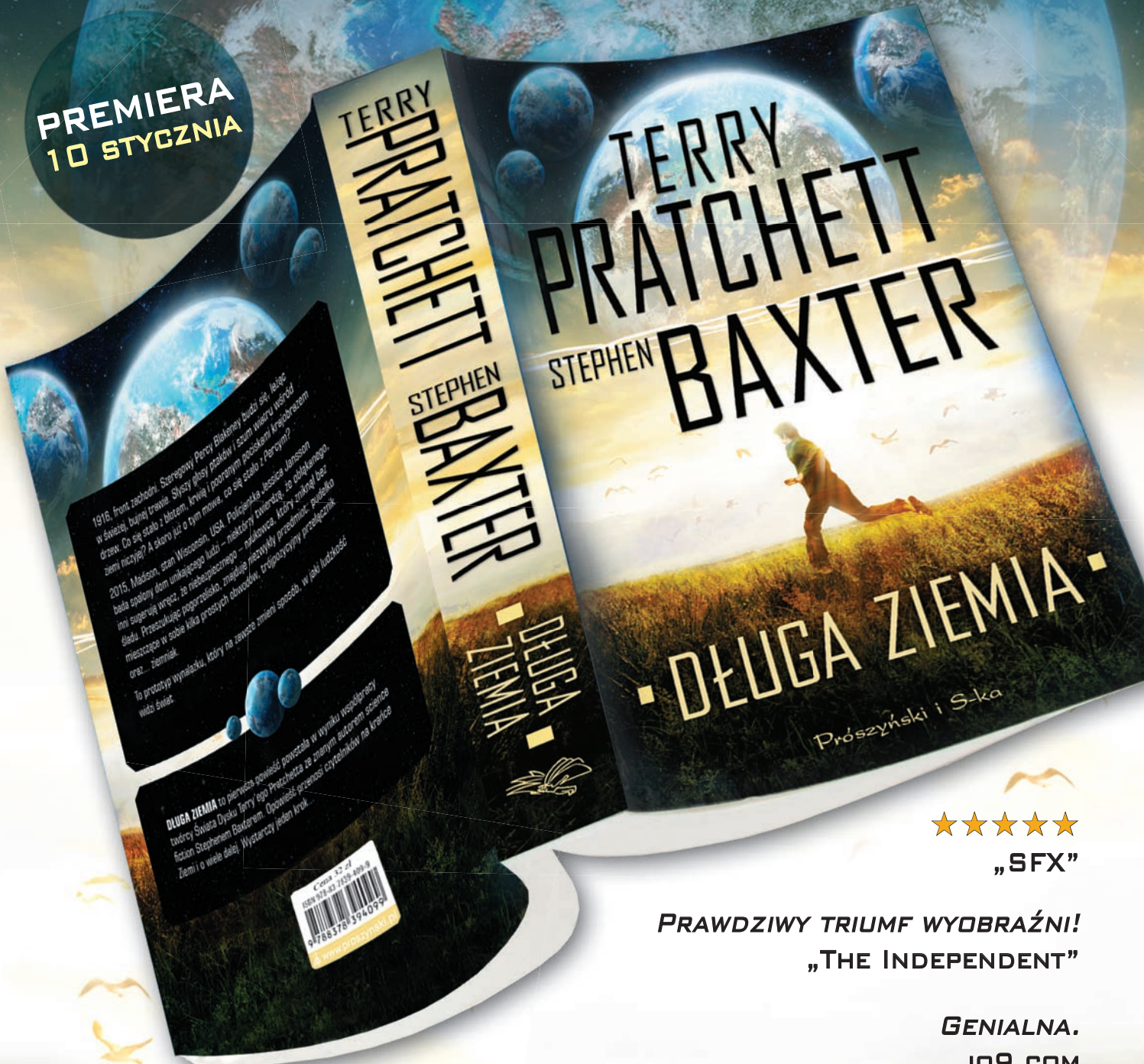
- ▶ każdy, kto zamówi prenumeratę „Nowej Fantastyki” lub „Nowej Fantastyki” i „Fantastyka Wydanie Specjalne” pomiędzy 25 września 2012 a 31 stycznia 2013 otrzyma archiwum cyfrowe „NF” 1982-2004 na dwóch płytach DVD;
- ▶ archiwum będzie wysyłane z najbliższym numerem prenumeraty;
- ▶ prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- ▶ reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- ▶ koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na poczcie ponosi zamawiający.



# GIGANCI FANTASTYKI W PEŁNEJ PRZYGÓD POWIEŚCI O ŚWIATACH RÓWNOLEGLYCH

WYRUSZ NA WYPRAWĘ  
W GŁĄB DŁUGIEJ ZIEMI!

PREMIERA  
10 STYCZNIA



1916, front zachodni. Szeregowy Percy Biskener budzi się, leżąc w świątyni, której trawie słyszy głosy ptaków i szum wiatru wśród drzew. Co się stało z bobem, krwią i porzytymi pociskami i krasobrazem ziemi niczyjej? A skoro już o tym mówię, co się stało z Perceym?

2015, Madison, stan Wisconsin, USA. Polcańska-Jessica Janesson biega spłakany dom umiarkowanego lata – nekrotyka twierdzą, że obłąkanego, inni sugerują wręcz, że niebezpiecznego – nakawca, który zmógł parę śladu. Przechwytując pogrzebisko, między niezwykły przedmiot: pułkownika mieszczącego w sobie kilka przestych obwodów, trójwymiarowy przedmiot oraz... ziemniak.

To prosty wynalazek, który na zawsze zmieni sposób, w jaki ludzkość widzi świat.

DŁUGA ZIEMIA to pierwsza powieść powstała w wyniku współpracy twórcy Świata Dysku Terry'ego Pratchetta ze znanym autorem science fiction Stephenem Baxterem. Opowieść przenosi Czytelników na krańca Ziemi i o wiele dalej. Wystarczy jeden krok...

Cena 12 zł  
ISBN 978-83-135-809-9  
9788378394039  
www.proszynski.pl

★★★★★  
„SFX”

PRAWDZIWI TRIUMF WYOBRAŹNI!  
„THE INDEPENDENT”

GENIALNA.  
109.COM

www.proszynski.pl

PATRONI MEDIALNI

